

Sonia Velton

ZAMEK SŁOWIKA

Powieść o Elżbiecie Batory,
Krwawej Hrabinie



MO
VA

Sonia Velton

ZAMEK SŁOWIKA

Powieść o Elżbiecie Batory,
Krwawej Hrabinie



PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Nightingale's Castle

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska
Wydawczynie: Monika Rossiter, Katarzyna Maśłowska

Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt okładki: Agata Łuksza

Autor portretu na okładce: *Antonie Blocklandt van Montfoort - Portrait of a Lady, Three Quarter Length, in a Ruff with Matching Lace Cap and Cuffs / Wikimedia Commons*

Wyklejka: Agata Łuksza
DTP: Maciej Grycz

The Nightingale's Castle
Copyright © Sonia Velton 2024
All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-994-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Zamek na wzgórzu

Przy każdym szarpnięciu powozu serce Boróki tłucze się w piersi, jakby to nim rzucało na tej kamiennej, rozgrzanej słońcem drodze. Konie sapią i parszczą, z mozołem ciągnąc pod górę swój krzyż; spod toczących się kół od czasu do czasu pryśnie jakiś kamyk – tylko po to, by wpaść w inną przypadkową szczelinę i już w niej pozostać. Boróka ściska w ręku drewnianą figurkę, kciukiem muskając gładką powierzchnię, jakby w jej fałdach kryło się ukojenie. „Pamiętaj, że jesteś kochana”, zapewnił József, kiedy zamykał ją w jej dłoni.

Kolejne szarpnięcie i dziewczyna wstrzymuje oddech, chwytając się ławeczki.

– Na litość! – beszta ją siedząca naprzeciwko Dorka. – Cóż za płochliwa ptaszyna nam się trafiła!

Odzyskawszy równowagę, Boróka wybąkuje przeprosiny. Można by pomyśleć, że siedzą w środku olbrzymiej kuli armatniej ciągniętej na łańcuchu ku szczytowi wzgórza na spotkanie z nieznanym. Przygryza wargę, wbijając wzrok w podółek. I choć ze wszystkich sił próbuje się skupić na splocie

zgrzebnej spódnicy, ma nieodparte wrażenie, że ktoś na nią patrzy. I rzeczywiście: gdy podnosi oczy, napotyka spojrzenie siedzącej obok Dorki dziewczyny, której usta momentalnie uginają się w uśmiechu.

Boróka zerka na chmurną opiekunkę, ale ta niczego nie zauważa zajęta wyglądaniem przez okno, jakby pod każdym poprzetykanym anemiczną roślinnością głazem krył się jakiś doniosły sekret. Jej młoda sąsiadka wypina pierś, powtarzając bezgłośnie oburzone: „Na litość!”, i na jej wzór dyskretnie łapie się pod bok.

Boróka z trudem powstrzymuje chichot, a w odpowiedzi nowa znajoma posyła jej uśmiech opatrzone uroczymi dołeczkami w policzkach, po czym wysuwa lekko dolną wargę i zdmuchuje z czoła przyklejone kosmyki, nitkowate niczym pszeniczne wąsy. Gdy wsiadała do powozu, Dorka przedstawiła ją jako Suzannę i Boróka próbuje przypomnieć sobie, czy widywała ją kiedyś w miasteczku. Może stały razem w porannej kolejce do piekarza, może przepychały się na targu, próbując dostać się do furmanki wędrownego kupca uginającej się od bel cudnego, barwionego marzanną i urzetem płótna. Ale na pewno by ją pamiętała, bo większość mieszczek zna przynajmniej z widzenia. A w powozie siedzą tylko we dwie, więc to by było na tyle, jeśli idzie o tabuny młódek zabijających się o służbę na czachtickim zamku.

Wyjrząwszy przez okno, dostrzega rozkołysany czubek pióra Ficzkii, który zajął strategiczne miejsce obok woźnicy. Z braku ciekawszych widoków ogląda je sobie ze wszystkich stron – dopóki powóz nie skręca i jej oczom ukazuje się sceneria, jakiej nie wyobrażała sobie w najśmielszych snach.

Na dziewczynie wychowanej pośród górskich szczytów surowych Karpat – wyrastających z ciemnej gęstwiny sosnowych

lasów, przyprószonych śniegiem w zimie i nastroszonych niczym wilcze futro w lecie – uderzające, czyste piękno jak okiem sięgnąć już dawno przestało robić wrażenie. Ale to... to nie jest przypadkowy twór rozpasanej natury, lecz umyślne dzieło człowieka, powstałe z tych samych skał, na których stoi. Można by pomyśleć, że wysokie kamienne mury ciągną się w nieskończoność, wypolerowane ręką czasu zainspirowaną wszystkimi odcieniami ołowianego nieba. Tuż za wałem obronnym wznoszą się wieżyczki i baszty zwieńczone spiczastymi czapami barwy spieczonej czerwonej ziemi u ich stóp.

Na widok oszołomienia malującego się na jej twarzy Dorka uśmiecha się z zadowoleniem.

– Daleko do twojej odrapanej chatki, co? – mówi, wciskając się w oparcie, by również Suzanna mogła wyjrzeć. – Czy teraz cieszysz się, że przyjechałaś?

Boróka zadaje w duchu to samo pytanie milczącemu zamczysku, ale jego mury są nieprzeniknione, a okna ciemne i zasłonięte niczym ślepi strażnicy tajemnic.

Suzanna okrąży komórkę w owalnej wieżyczce, wędrując dłonią po chropowatych ścianach.

– Nigdy nie mieszkałam w okrągłym pokoju – oznajmia z podekscytowaniem. Komórka jest tak ciasna, że już po chwili wraca do punktu wyjścia i staje przed Boróką. – A ty?

Dziewczyna kręci głową. W swym życiu mieszkała tylko w białej chacie Józsefa i jeszcze jednym miejscu. Czasami próbuje je sobie przypomnieć, ale gdy tylko zaczyna gonić za mglistymi wspomnieniami, rozpierzchają się niczym cienie w świetle dnia.

Zapał już wieczór i powietrze jest przesycone gryzącym zapachem łojowej świecy. Boróka podchodzi do okna i mrużąc oczy,

próbuję zajrzeć za zasłonę nocy. Gdzieś tam, daleko, József stoi w progu chaty i gwizdże na psy. Gdy się zbiegną, zamknie je w środku, a potem zgasi ogień w palenisku i napełni dzban wodą na rano.

– Dobrze się czujesz? – Zza pleców dobiega ją szept Suzanny i Boróka mimowolnie sztywnieje.

– Tęsknię za moim *apa* – mówi i odwraca się do niej.

– Spróbuj o tym nie myśleć – radzi Suzanna, gasząc świecę palcami. – Chodź. – Bierze ją za rękę i ciągnie. – Pora spać.

Na podłodze leży słomiany siennik przeznaczony dla nich obu, zajmujący niemal całą komórkę wielkości małego cekhauzu u szczytu krętych schodków. Leżąc już pod pledem, Boróka ma wreszcie okazję przyjrzeć się swej współlokatorce, konturom jej zacienionej twarzy okolonej rozrzuconymi cienkimi włosami.

– Czemu tu przyjechałaś? – pyta.

Suzanna spogląda na nią pustymi oczami i nocną ciszę przerywa stłumione westchnienie rezygnacji.

– Matka mnie sprzedała.

– Sprzedała? Jak mogła?

– Ot tak. – Suzanna przekręca się na plecy i wbija wzrok w sufit. – „Ty bezużyteczne stworzenie!” – skrzeczy głosem tak zjadliwym, że Boróka ma ochotę parsknąć śmiechem. – „Jeszcze nie przyniosłaś wody, leniwa dziewucho? Spójrz tylko na te ściegi! Jakby wyszły spod świńskich racic! Kto upiekł ten chleb? Można nim rąbać drewno na opa!”

Boróka prycha.

– Było aż tak źle?

– Gorzej. Nie umiałam zrobić niczego, jak należy, a poza tym i tak mnie nie potrzebowała. Mam trzy starsze siostry z dużo lepszymi widokami na zamążpójście. Byłam jej tylko zawadą, więc pozbyła się mnie z pocałowaniem ręki.

– Tak mi przykro, Suzanno...

– Niepotrzebnie. Wreszcie mam siennik prawie dla siebie!

Wyciąga się na posłaniu jak rozgwiezda. Z kolei dla Boróki to nowość. Nie licząc psów, które czasami do niej wskakiwały, od zawsze sypiała sama. Teraz nie wie, czy odsunąć się od rozciągniętej na posłaniu Suzanny, czy przytulić się do niej jak do swych czworonożnych przyjaciół, szukając bliskości i ciepła żywej istoty.

– Boisz się? – pyta szeptem.

Suzanna odwraca głowę. W księżycowej poświacie białka jej oczu opalizują jak perły.

– Czego?

– Hrabiny. Powiadają, że wiele dziewczek trafia na zamek, ale prawie żadna nie wraca.

Suzanna przewraca się na bok.

– Boję się głodu – mówi po chwili. – I chłodu. Boję się wilków, które zimą podchodzą pod chaty i wyciągają chorych z barłogów. Czego tu się bać, skoro nasze brzuchy będą pełne, a stopy ogrzane? – Znienacka muska palcami łydkę Boróki, która prawie podskakuje. – Dorka miała rację – stwierdza ze śmiechem. – Płochliwa z ciebie ptaszyna!

– Śpijmy już – ucina Boróka lekko rozdrażniona. – Robi się późno.

– Wedle życzenia. – Suzanna opiera się na łokciu i przyciąga pod głowę worek plew. – Co to? – pyta, znajdując pod nim drewnianą figurkę.

– Taki drobiazg – odpowiada Boróka. – Od Józsefa, na pamiątkę.

– Ale co to jest? – Suzanna unosi zdobycz i mrużąc oczy, ogląda w księżycowym świetle misternie rzeźbione skrzydełka, smukłą szyjkę i błoniaste stópki.

Boróka wyciąga rękę i odbiera swą własność.

– To gąska, głuptasie – mówi.

Obute i zarumienione stawiają się przed świtem w przestronnej kuchni, która ze swym kamiennym sklepieniem i wszędobylskimi kagankami bardziej przypomina zamkową kryptę. Boróka stoi ze spuszczoneym wzrokiem, zerkając na zastawiony kamionkowymi misami i garncami drewniany stół, pod którym chowają się wiklinowe kosze pełne warzyw.

Nowe służki czekają cierpliwie na polecenia, choć w tym momencie można by pomyśleć, że tylko tu zawadzają. Przy olbrzymim palenisku, w którym bucha wesoly ogień, spocorny kucharz gniecie surowe ciasto, podczas gdy drugi wyjmuje z pieca wypieczone już bochenki i zsuwa je na blat stołu świeże, złociste i pachnące domem. Nagłe kręcenie w nosie zwiastuje napływające do oczu łzy i Boróka odchyła głowę, jakby chciała je połknąć, zaciska powieki i zawzięcie mruga, próbując skupić na czymś wzrok. Z rozciągających się nad nią niebiańskich sklepień zwisają na łańcuchach zacienione sprzęty: żelazna obręcz obciążona garnkami i patelniami niczym orbitującymi planetami, drewniane półki uginające się od kiści ziół i warkoczy czosnku. Martwy bażant wygląda, jakby wzbijał się do lotu w te osobliwe przestworza, powstrzymywany jedynie przez hak wbity między opalizujące skrzydła.

– Tu jesteście.

Dziewki niemal podskakują w miejscu, okręcając się na pięcie.

– Pani hrabina lada chwila się obudzi – oznajmia Dorka, mijając je jak strzała. – W łóżku pija wodę cynamonową lub napar miodowy z figami w syropie.

Daje znak służce, która łapie miednicę i napełnia ją gorącą wodą z kotła nad ogniem.

– Jaśnie pani nigdy nie jada mięsiwa na śniadanie. Woli drylowane damascenki z plastrami cytryny i imbiru.

Boróka przełyka ślinę. Ma to wszystko zapamiętać? Już jej się płacze; ta woda była z miodem, a napar z cynamonem czy odwrotnie? Tymczasem służka podaje Dorce miednicę i przewiesza jej przez ramię lniany ręcznik. Przełożona spogląda wyczekująco na nowe czeladnice. Boróka wyciąga ręce i z przerażeniem odkrywa, że trzęsą się jak osika.

– Czy... – próbuje mówić, ale słowa więzną jej w ściśniętym strachem gardle. Odchrząkuje i nabiera powietrza. – Czy mam zanieść to jaśnie pani?

– Ty? – Dorka wybucha śmiechem tak głośnym, że nawet kucharz podnosi wzrok znad niestrudzone ugniatanego ciasta. – Nie jesteś godna pokazywać się na pańskie oczy! Nie, ja jej to zaniosę, wy bierzcie się do zamiatania i szorowania stołu. A jak wstanie słońce, zanieście resztki świniom.

Kuchnia wychodzi na brukowany, wyściełany słomą podwórzec, a do okalających go murów przylegają drewniane, kryte strzechą chlewiki i kurniki. Gdy Suzanna wchodzi do środka, by wyłączyć pomyje do koryta, spłoszone ptactwo rozbiega się z krzykiem na wszystkie strony.

– Już czuję się jak w domu – mruży pod nosem, patrząc, jak nadgniła główka kalafiora ląduje w błocie, a dorodny wieprz, chrumkając, rozprawia się z resztkami sarniego combra.

– Jak sądzisz, co nam teraz każą? – pyta Boróka, sięgając po rozmiękłą figę, która nie dostała się na pański stół, i karmi nią najbliższe prosiątko.

– Czy ja wiem... przerzucać gnój?

Boróka blednie jak chusta.

– Naprawdę myśl... – Nagle milknie, spoglądając ku strzelistym basztom.

Opróżniwszy kubel, Suzanna podąża za jej wzrokiem.

Podwórzec ustępuje miejsca ogrodowi porośniętemu jabłoniami, śliwami i czereśniami, na który wychodzi rząd foremnych okien z witrażowymi szybkami w kształcie rombów zwieńczonych wysuniętymi kamiennymi łukami na wysokości piętra. Wzrok Boróki przyciąga lekko odchylona zasłona – a za nią sylwetka kobiety spoglądającej na świat u swych stóp.

– Myślisz, że to ona? – pyta szeptem, jakby najmniejszy poddmuch zdradzieckiego wiatru mógł zanieść jej słowa do uszu tajemniczej postaci.

Suzanna wzrusza ramionami, ale Boróka nie może oderwać oczu od niemożliwie smukłej sylwetki, która po chwili rozplywa się w ciemności.

– Piękna, prawda? – U ich boku materializuje się Ficzkó, tego dnia przyodziany w ciemnoniebieską huzarkę z plisowanymi rękawami, spod której wзира śnieżnobiała koszula. – Tylko uważaj, na kogo się gapisz, gęsiarko. Tu nawet świny wiedzą, żeby nie podnosić ryjów.

Boróka oblewa się rumieńcem i spuszcza wzrok, wciąż czując na sobie jego spojrzenie palące jak lipcowe słońce, przed którym nie ma ucieczki.

– Mam robotę – wybąkuje, schylając się po kubel.

– W istocie – przytakuje Ficzkó. – Przysłano mnie po was. Macie iść do wschodniej izby, tej przy spiżarni. Ilona Jó Nagy już tam czeka.

Wschodnia izba swój przydomek zawdzięcza wysokiemu oknu łapiącemu promienie wstającego słońca, pod którym tego ranka siedzi przy jednym szerokim stole nie mniej niż osiem dziewczek zajętych szyciem. Głowy mają spuszczone, a wzrok wbity w robótki, jakby zależało od tego ich życie. Na środku stołu leży sterta sztywnych krez i kołnierzy, koszul i halek pachnących zwietrzałym mydłem łojowym i słońcem, na którym się suszyły.

Na widok nowo przybyłych Ilona Jó nachyla się nad stołem, przyciskając pobieliałe kłykcie do gładkiego orzechowego blatu z taką determinacją, jakby chciała je w niego wbić. Można by pomyśleć, że zlewa się z nim w jedno, kanciasta i sztywna jak jedna z jego desek.

– Umiesz szyć? – pyta Suzannę.

Dziewczyna zdusza uśmiech.

– Moja matka mawiała, że świnię mają zręczniejsze racice.

Igła w palcach siedzącej na wprost dziewczki nieruchomieje, a jej oniemiała właścicielka zerka z niedowierzaniem na Suzannę, rozdziawiając usta.

– Coś ty powiedziała? – Głos Ilony kłuje niczym szpilki ze stojącej przed nią skrzyneczki.

Suzanna rzuca okiem na dziewczkę, która momentalnie skupia się na cerowaniu halki, ściągając nitkę z takim zapamiętaniem, że na gładkiej tkaninie pojawiają się fałdki.

– Postaram się – poprawia się z pokorą.

– Ja myślę. – Ilona wyciąga ze sterty samotną pończochę. – Zacznij od tego – mówi, rzucając ją Suzannie. – I żeby nie było mi widać ściągów.

Suzanna podnosi pończochę; jeszcze nigdy nie dotykała czegoś tak jedwabistego, delikatnego jak skrzydła ćmy. Ku jej zgryzocie nawet najcieńsza nić ryje gładką powierzchnię tkaniny

niczym pług spulchnioną ziemię. Zerka na Borókę, której dostał się krochmalony biały czepek wyszywany na przedzie koralikami. Jej palce są niewiarygodnie zwinne i już po chwili robótka jest skończona. Ilona kiwa z zadowoleniem głową i podaje jej giezło z oberwanym rąbkiem.

– Zajmij się swoją robotą – rzuca ze złością, mijając Suzannę.

Wiekem nie ustępuje Dorce, która już dawno przekroczyła zgrzybiałą pięćdziesiątkę, ale podczas gdy tamtą lata obrosły jak warstwy cebuli, gromadząc się w talii i podwójnym podbródku, Ilonę kawałek po kawałku odarty z cielesnej powłoki. Stoi u szczytu stołu niczym naga brzoza w zimie – blady, szczapowaty posąg złożony ze ścięgien i kości.

Suzanna kończy cerować i odłożywszy pończochę na bok, wygładza ją dłonią. Już ma sięgnąć po następną robótkę, gdy nagle pończocha zostaje porwana ze stołu i unosi się w palcach rozszluszczonej Ilony.

– Kpisz sobie ze mnie? – Pytanie nie pada podniesionym głosem, a mimo to wszystkie dziewczki jak jeden mąż odrywają się od pracy i wlepiają wzrok w dyndającą pończochę.

– Nie, proszę pani.

– Więc czemu to zrobiłaś?

– Co takiego?

– To! – Ilona potrząsa pończochą, która trzepoce w powietrzu jak ryba na haczyku. – To najpyszniejszy lyoński jedwab, a ty go zniszczyłaś. Gruda na grudzie! Jaśnie pani będzie wyglądać w niej jak ospowata!

Jedna z dziewczek prycha, ale trudno orzec którą, bo wszystkie momentalnie przywdziewają kamienne maski.

– Rozumiesz, po co tu jesteś? – pyta Ilona, ale zgnębiona Suzanna kręci spuszczoną głową. – Jesteś tu, żeby zobaczyć,

co umiesz. Te, które potrafią szyć, zostaną szwaczkami, może nawet pošlemy je na koronkarki. Te, które odróżniają smalec od gęsiego łoju, będą pracować w kuchni. A te, które mają dwie lewe ręce... – Przerywa, kładąc delikatnie pończochę przed Suzanną niczym dowód w sądzie. – Zostaną zagonione do pralni.

– To nie była jej wina.

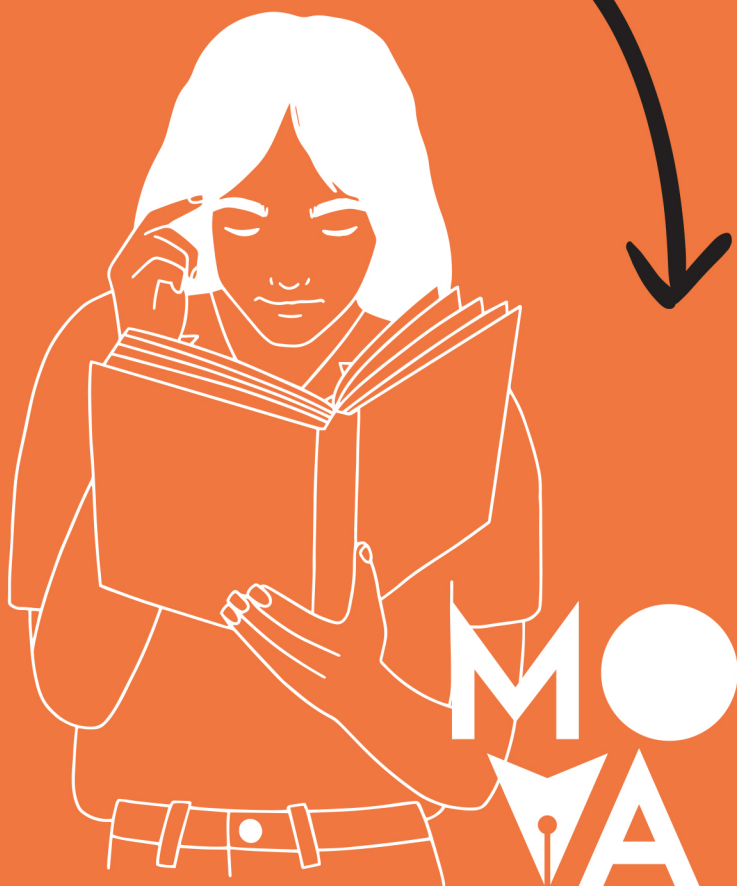
Oczy Ilony przenoszą się niechętnie na Borókę, jakby na jej głowę zwałił się jeszcze jeden kłopot.

– Nikt nie zaceruje zgrabnie jedwabiu lnianą nicią – ciągnie Boróka niemal niedosłyszalnym głosem, który ginie w nerwowym szeleście spódnic reszty szwaczek.

Ilona patrzy na nią bez słowa, a potem robi coś niespodziewanego: kuca przed nową podopieczną, ujmuje oburącz jej dłonie i kciukiem muska ich gładką skórę.

– Jaka szkoda – szepce – że te zwinne paluszki zniszczą się po tygodniu maczania w potażu i gorącym ługu.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova